ZUT w Eterze, cz. 36 „Opowieść polarniczki z ZUT” cz.1

--------------------------------------------------------------------------------

**Rafał Molenda:** Dla laików jest to “Koniec świata”. Dla naukowców - kraina pełna życia i niespodzianek. Jaka jest Antarktyka i co tam robią naukowcy ZUT? Przyczynkiem do tej rozmowy jest książka-reportaż pod tytułem: “Polarniczki. Zdobywczynie podbiegunowego świata”. Książka Dagmary Bożek ukazała się kilka tygodni temu i jest zbiorem opowieści o kobietach w historii polskich wypraw do Antarktyki i Arktyki. Jedną z bohaterek jest prof. Katarzyna Stepanowska, ichtiolog z Wydziału Nauk o Żywności i Rybactwa ZUT, która uczestniczyła w 29. Polskiej Wyprawie Antarktycznej do Polskiej Stacji Antarktycznej im. Henryka Arctowskiego w latach 2004-2005. Dzień dobry.

**Katarzyna Stepanowska:** Dzień dobry jest mi niezwykle miło być tutaj dzisiaj i móc się podzielić swoimi doświadczeniami z antarktycznego świata.

**Rafał Molenda:** Ja również się cieszę, że pani wróciła, bo są tacy, którym stamtąd trudno się wraca do rzeczywistości.

**Katarzyna Stepanowska:** Na pewno ciężko jest powrócić do tego świata, który nas otacza. Po moim rocznym pobycie na stacji imienia Henryka Arctowskiego mogę powiedzieć, że istnieją dwa światy. Ten nasz tutaj na przykład w Szczecinie i świat antarktyczny. Nie wiem, który jest lepszy, który jest gorszy. Nie mogę znaleźć jednak żadnego przełożenia. Po prostu są dwa światy i ja miałam to szczęście przez rok być w tym drugim.

**Rafał Molenda:** Jak do tego doszło? Pani jest ichtiologiem, czyli zajmuje się pani badaniem życia ryb.

**Katarzyna Stepanowska:** Tak - elementami biologii i fizjologii ryb. Nie mogę jednak jednoznacznie odpowiedzieć, dlaczego chciałam się tam wybrać. Najpierw chyba tak naprawdę na wyciągnięcie ręki Antarktyka pojawiła się w czasie studiów, w trakcie mojej półrocznej praktyki magisterskiej w Polskiej Akademii Nauk w Gołyszu. Tam spotkałam panią profesor Kamler - polarniczkę, która opowiadała, że jest właśnie organizowana wyprawa polarna w rejony antarktyczne w celu badania ryb białokrwistych. I to był taki pierwszy moment, kiedy pomyślałam, że chciałabym i może bym mogła wziąć udział w wyprawie. Wtedy jednak usłyszałam, że akurat jest to czas, kiedy kobiety nie wybierają się w te rejony i jestem trochę za młoda.

**Rafał Molenda:** To był warunek? By wziąć udział w wyprawie, trzeba było być mężczyzną?

**Katarzyna Stepanowska:** Tak. Trochę tak było i w trakcie przygotowywania książki -  podczas naszej rozmowy z Dagmarą Bożek - okazało się, że to moje wspomnienie było bardzo prawdziwe, bo to był okres, kiedy były typowo męskie wyprawy antarktyczne. Na stację imienia Henryka Arctowskiego wyjeżdżała ekipa specjalistów wybieranych tylko i wyłącznie spośród mężczyzn. Ta wyprawa nie doszła do skutku, ale marzenie o wyjeździe pozostało. Pierwszy realny moment nadszedł w 2002 roku, kiedy odważyłam się i zadzwoniłam do profesora Rakusy-Suszczewskiego, wielkiego polskiego polarnika, organizatora wielu polarnych wypraw, twórcy polskich badań polarnych i polarystyki. Wtedy usłyszałam też, że nie - nie mogę wyjechać. Pomyślałam sobie w duchu po tej rozmowie - bardzo miłej rozmowie - że ja będę dalej próbowała. Dwa lata później - w 2004 roku - nadszedł wreszcie ten moment,  kiedy już mnie zapytano, czy bym nie chciała, bo jest poszukiwany ichtiolog na kolejną wyprawę arktyczną. Wyraziłam zgodę. Zostałam zaproszona na rozmowę kwalifikacyjną do ówczesnego Zakładu Biologii Antarktyki w Polskiej Akademii Nauk. Rozmowę przeprowadzał ze mną pan profesor Rakusa-Słuszczewski. Po kilku minutach opowieści o tym, czym się zajmuję i  co bym mogła robić, usłyszałam: “ jedziesz”. To był maj 2004 roku. Wystartowałam w listopadzie 2004 roku. Byłam ichtiologiem 29. polskiej wyprawy antarktycznej i dziś już wiem, że była to inna wyprawa od tych, które organizowane są obecnie. Wtedy było zupełnie inaczej. Teraz patrząc z perspektywy tych nastu lat, które upłynęły od mojej wyprawy, widzę, że ja doświadczyłam jeszcze tego “końca świata”. A dlaczego tak myślę? To za chwilę powiem. W czasie kiedy była organizowana, moja wyprawa, wyglądało to tak, że właśnie w okolicach września, października z Polski wypływał statek z kolejną ekipą i dopływał do stacji, gdzie następowała zmiana ekip, zmiana sprzętu i ekipa, która kończyła swoje zimowanie, wsiadała na statek powrotny. Parę dni płynęła do Ameryki Południowej. W zależności od tego, jak to było w danym roku, statek płynął albo do Argentyny, albo do Chile i stamtąd już bezpośrednio samolotem grupa leciała do Polski. W przypadku mojej wyprawy było nieco inaczej, ponieważ też leciałam w tamtą stronę, więc bardzo szybko startując w poniedziałek ze Szczecina w sobotę już byłam u brzegu Wyspy Króla Jerzego, na której jest polska stacja. Niestety warunki pogodowe w ogóle nie pozwoliły na zejście i czekaliśmy na poprawę pogody. Mówiąc o tym pierwszym wrażeniu, muszę wspomnieć, że wypłynęliśmy z Ameryki Południowej w Argentynie z Ushuaia. To miejsce jest nazywane “Końcem świata”. Tam właściwie jeśli chodzi o turystykę, to wszystko opatrzone jest zdaniem: Fin del Mundo, czyli jesteśmy na końcu świata i dalej się nie da. Z drugiej strony jest to brama do Antarktyki. Wiele wycieczek kieruje się tylko do Ushuaia, żeby być na “końcu świata” trochę poczuć morskiego polarnego klimatu. Tymczasem to właśnie jest początek drogi w rejony antarktyczne. Rzeczywiście widać, że się opuszcza ten świat, który nas otacza, bo w pewnym momencie zaczyna brakować drzew i tutaj koledzy mi powiedzieli, że “właśnie to jest ten moment, kiedy żegnamy ostatnie drzewo”. Strasznie padał wtedy deszcz i to było jedyne moje 5 minut niepewności i lekkiego zawahania: co ja robię? Wybieram się na cały rok? To było jednak tylko 5 minut, a potem już Cieśnina Bransfielda,  Pasaż Drake'a i płynęłam tam, gdzie chciałam, choć nie wiedziałam, dlaczego chcę tam płynąć. No i tak jak powiedziałam, pierwszy kontakt to był straszny sztorm. Nie można było zejść na ląd. Poczekaliśmy do następnego dnia. Antarktyka powitała mnie piękną, słoneczną pogodą, spokojnym morzem i postawiłam swoją stopę na Wyspie Króla Jerzego 21 listopada 2004 roku. Tak się zaczął mój rok w rejonach polarnych. Przez cały dzień trwał rozładunek naszych rzeczy ze statku i załadunek sprzętu poprzedniej ekipy. Swoje stanowisko przekazała mi uczestniczka 28. wyprawy profesor Agnieszka Pociecha. Przekazała wszystkie swoje doświadczenia i informacje, które uznała za ważne, a jednocześnie zdawała mi sprawozdanie z tego, co robiła w ramach obowiązków mieszkanki stacji. Oprócz najważniejszej rzeczy, czyli prowadzenia badań jako ichtiolożka 29. wyprawy, miałam szereg różnych innych obowiązków. Wśród nich między innymi zajmowanie się szklarnią, obsługą centrum turystycznego - brzmi to niezwykle szumnie, ale w rzeczywistości był to taki malutki domek w stylu góralskim pod latarnią polską, latarnią imienia Henryka Arctowskiego. To jest najdalej na południe świata wysunięta polska latarnia i pod tą latarnią właśnie znajduje się centrum turystyczne. Gdy przypływały statki turystyczne - okres mojej wyprawy to już był prawdziwy boom turystyczny, który trwa do dzisiaj - to pasażerowie najczęściej właśnie przy tym domku turystycznym wysiadali i wędrowali na takiej przestrzeni, na której mogą się pojawiać ludzie. Jest to w odpowiedniej odległości, na przykład od pingwiniska. Turyści wędrowali do głównego budynku stacji - centrum turystycznego - wbijali sobie odpowiednie stemple do paszportu na przykład z wizerunkiem patrona stacji albo też wysyłali pocztówkę opieczętowaną w stacji, bo mieliśmy także skrzynkę pocztową, gdzie taka pocztówka z przypiętym jednym dolarem wędrowała do Chilijczyków - pod warunkiem, że do nas przylecieli helikopterem. Ci zabierali pocztę do swojej stacji militarnej, na której znajdowała się poczta i w ten sposób był pocztowy kontakt ze światem. W ten sposób w czasie mojej wyprawy kontaktowaliśmy się na tak naprawdę ze światem, bo przychodziły do nas listy. My mogliśmy listy wysyłać. W czasie mojej wyprawy na stacji funkcjonował tylko telefon satelitarny wraz faksem. Telefoniczna łączność ze światem była możliwa pod warunkiem, że była odpowiednia propagacja. Czasami to my kogoś słyszeliśmy z Polski, a oni nas nie słyszeli albo na odwrót. Podczas mojej wyprawy jeszcze wciąż nie było Internetu nie mówiąc o telewizji. Teraz czasy trochę się zmieniły. Ja jeszcze byłam na “końcu świata” bez telefonu, bez radia, bez telewizji i Internetu.

**Rafał Molenda:** Jak wyglądał dzień na stacji?

**Katarzyna Stepanowska:** Był bardzo zorganizowany, ale tak naprawdę uzależniony od warunków pogodowych i bardzo szybko człowiek w tych rejonach uczy się, że człowiek może sobie wiele rzeczy zaplanować, ale nie wszystko uda się zrealizować, bo warunki dyktuje Antarktyka. Cały czas trzeba było pozostawić ten margines bezpieczeństwa, bo jutro może pogoda nie pozwolić ani na przeprowadzenie połów, ani nawet na prowadzenie badań, bo w czasie mojej wyprawy laboratoria były oddalone o 200 m od głównego budynku stacji. Czasami te 200 metrów naprawdę było bardzo trudne do przejścia. W tym świecie odległości zupełnie się zmieniają i oznaczają zupełnie co innego niż na przykład w Szczecinie.

Antarktyka jest pełna życia. Już w trakcie przeładunku na każdym kroku można było spotkać lokalnych mieszkańców. Gdzieś słoń morski się wylegiwał, gdzieś przychodził pingwin. Moje pierwsze spotkanie z tym żyjącym światem było dla mnie samej zaskakujące. Teraz, jak na to patrzę, śmieję się z tego, jak myśli przedstawiciel świata cywilizacji. Było właśnie pod tym sztormie z poprzedniego dnia. Na brzegu zobaczyłam coś, co wyglądało jak folie porzucone przez turystów. Pomyślałam, że ludzie są beznadziejni, bo wszędzie jest pełno reklamówek rozrzuconych na brzegu i to jeszcze takich charakterystycznych - fioletowych. Dopiero po chwili się zorientowałam, że to są makroglony. Makroglony, a nie jakieś śmieci. To był ten pierwszy dzień i pierwsze spotkania z różnymi zwierzętami i makroglonami na brzegu. Po powrocie do Polski łapałam się później na tym, że na brzegach rzek i jezior nie leżą już niestety makroglony, leżą niestety śmieci. Na czas zimowania została jedenastoosobowa grupa: ja i 10 panów. Kierownik grupy: profesor Arkadiusz Nędzarek także z mojego wydziału oraz kierownik techniczny, lekarz, mechanicy i radiowiec, bo jeszcze w czasie mojej wyprawy było radio i tylko dzięki niemu mogliśmy się łączyć także z innymi stacjami. Utrzymywaliśmy prawidłowe funkcjonowanie naszej stacji, no i równocześnie też prowadziliśmy badania. Ten świat wbrew pozorom tętni życiem i jest bardzo kolorowy, chociaż wydaje się, że to jest tylko biel i otacza nas woda w najprzeróżniejszej postaci. Ja tam trafiłam na bardzo silne deszcze w okresie antarktycznego lata. Ta woda jest właśnie pod postacią deszczu, pod postacią Zatoki Admiralicji, pod postacią lodu, śniegu i ten wodny świat jest naprawdę bardzo kolorowy. Zaraz po przybyciu udało mi się zanurkować w wodach Zatoki Admiralicji razem z dr Martą Potocką - pierwszą Polką, która tam nurkowała.  Ja jestem drugą. Ten podwodny świat naprawdę jest niesamowicie kolorowy i to są ciągle jeszcze najczystsze, najlepiej natlenione wody świata. Jak się dobrze przyjrzymy, to w Antarktyce znajdziemy wiele kolorów i wcale ten świat nie jest taki monotematyczny. Zaraz po powrocie z wyprawy do Polski razem z profesorem Markiem Nędzarkiem mieliśmy na Zamku Książąt Pomorskich wystawę naszych zdjęć i pamiętam, jak była przygotowywana ta wystawa, zostałam zapytana, czy ja mam jakąś wizję ułożenia swoich zdjęć? Powiedziałam, że chcę, żeby ułożone zostały w 4 pory roku. Widziałam, że tak na mnie dziwnie się patrzono, bo gdzie ja tam się chcę doszukiwać tych 4 pół roku. Później okazało się jednak,  że udało się te zdjęcia tak ułożyć i zobaczyć, i wiosnę, i lato. No i oczywiście zimę.

**Rafał Molenda:** Samotność. Czy zdarzało się odczuwać to osamotnienie? Czy nie pozwalał nawał pracy?

**Katarzyna Stepanowska:** Nie było czasu na to chyba. Ja też jeszcze przed wyjazdem przygotowywałam się na to, żeby nie mieć zbyt dużo wolnego czasu i nie rozmyślać nadmiernie. Ten wyjazd antarktyczny akurat mi się pojawił w najlepszym okresie życia i doceniłam to, że gdy wcześniej próbowałam, nie udawało mi się. Moja wyprawa pojawiła się w momencie, kiedy akurat skończyłam wszystkie badania do swojej habilitacji, więc w trakcie wyprawy prowadziłam badania polarne, ale także spokojnie pisałam swoją rozprawę habilitacyjną. Zabrałam ołówki papier. Udało mi się tylko dwa szkice zrobić, bo nie było czasu. Cały czas nie było czasu. Pogoda okazała się bardzo przyjazna i nie było takich typowych ciągów na przykład dwu-, trzytygodniowych, żeby było tak strasznie, jak w opowieściach kolegów. Ci mówili o przypadkach, w których naprawdę nie można było się ze stacji ruszyć. Wychodzili jedynie dyżurni, którzy byli odpowiedzialni za agregaty. Ci, którzy wychodzili, byli jeszcze powiązani linami po kilku mężczyzn, żeby przypadkiem nie odlecieć, bo tam się zdarzają takie wiatry, które mogą porwać człowieka. Ja miałam parę razy takie akcje, że na przykład nie będąc zbyt wątłą istotą, po prostu klęczałam przy ziemi, żeby mi próbek nie wyrwało i przeczekiwałam największe podmuch wiatru. Bałam się, że w najgorszym wypadku albo mnie wywróci, albo mi porwie to, co niosę. Ale generalnie po kilku cięższych dniach pojawiał się spokojny i słoneczny dzień. Nawet udawało mi się przez cały rok prowadzić połowy ryb w Zatoce Admiralicji. Oczywiście i tutaj podkreślam, członkiem naszej wyprawy też był zawodowy rybak, który był po raz kolejny na wyprawie i to dzięki niemu prowadziliśmy stałe połowy, używając specjalistycznych sieci. Łowiliśmy głównie nototenie.

**Rafał Molenda:** Czy one występują tylko w rejonach Antarktyki?

**Katarzyna Stepanowska:** Tak. Towarzyszyły mi przez cały rok badań. Pamiętałam je z dzieciństwa, bo gdy były jeszcze centrale rybne, to właśnie bardzo często można było w nich spotkać nototenie, ponieważ jest to gatunek, który był eksploatowany przez naszą flotę poławiających na morzach. Przy okazji jest też ciekawy wątek, bo gdy powstawała polska stacja badawcza, to oprócz tych naukowych powodów jej funkcjonowania, był jeszcze jeden. Posiadanie całorocznej stacji, która pracuje i cyklu ciągłym poza 60 stopniem szerokości geograficznej południowej, pozwalało na wejście do Układu Antarktycznego ( międzynarodowa umowa regulująca polityczno-prawny status Antarktydy, jedynego niezamieszkanego kontynentu).  Zaraz po tym, jak powstała stacja imienia Henryka Arctowskiego, zaczęła ona pełnić jeszcze jedną funkcję - stała się polskim przyczółkiem dla rybaków, którzy łowili w tamtych rejonach. Dzięki stacji mogli zejść na ląd, pobyć na polskiej stacji i uzupełnić wodę, bo naszej stacji jest źródło wody pitnej.  I to tak się właśnie wplatają wątki naukowe stacji z wątkami rybackimi. Tak więc nototenia gdzieś tam już w moim dzieciństwie się pojawiała i może nie do końca umiejscawiałam ją w rejonach Antarktyki, ale w końcu zostałyśmy przyjaciółkami. Udało mi się w cyklu rocznym sprawdzać, jak się zmienia zawartość tłuszczu, białka, suchej masy i popiołów ciele, a także pobierać od nich krew i badać, jak wygląda stężenie glukozy, cholesterolu, a także białka w ich krwi.

**Rafał Molenda:** Po co się robi takie badania?

**Katarzyna Stepanowska:** Żeby zobaczyć, czy pomimo tak stałego klimatu, niskiej temperatury w ciągu roku następują jakieś zmiany. Na przykład związane z zmianami występowania pokrywy lodowej,  z przygotowaniem organizmu tych ryb do tarła. Okazywało się, że pomimo tego, że nototenie są stosunkowo chudymi rybami, to nawet ta zawartość tłuszczu w cyklu rocznym potrafi się zmieniać. Ale też miałam ogromne szczęście. Parę razy trafić na bardzo unikatową rybę: szczękacza, nazywanego też borelem. Są one rybami białokrwistymi. Znałam te ryby z czasów moich studiów i wszystko o nich wiedziałam, ale gdy pierwszy raz zaczęłam pobierać krew, to było coś niesamowitego, bo do probówki zaczęła mi lecieć woda. One są nazywane białokrwistymi, ale ich krew jest w rzeczywistości całkowicie przeźroczysta. Jest to po prostu coś niesamowitego.

Koniec części pierwszej.